DZIŚ i JUTRO

ROK II. Nr. 8.
15. KWIETNIA 1926.



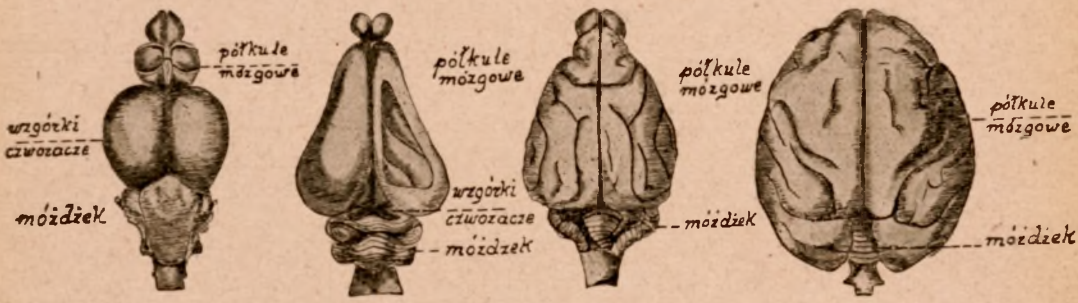
L. Wyczółkowski

Orka.

ZADANIE DO ROZWIĄZANIA.

Oburzycie się może miłe Czytelniczki, że w waszem ślicznem pisemku tak mało artystyczne i pociągające ryciny umieszczam. Z taką niepozorną grudką jednak związane jest to, co stanowi najcenniejszy z ziemskich skarbów człowieka — jego myślenie, czucie, spostrzeganie, mowa, wyobraźnia, chicznego; w innych znów jest skoncentrowane niższe życie odruchów i instynktów.

Badając tę zależność poprzez drabinę zwierzęcego świata możemy skonstatować, że doskonaleniu się życia psychicznego u zwierząt wyższych rzędów, odpowiada rozwijanie się i wzrost tych części mózgu,



Mózg pstrąga. Mózg królika. Mózg psa. Mózg orangutanga.

słowem jego życie psychiczne. A związane jest tak ściśle, że wystarczy byle ucisk n. p. krwi przy uderzeniach na mózg, a już cały cud ludzkiej inteligencji zostaje zmącony, zburzony. Przedziwna ta zależność sięga tak daleko, że poszczególne nasze psychiczne czynności n. p. widzenie, mówienie, pisanie etc. są związane z pewną określoną częścią mózgu. Uszkodzenie n. p. skroniowych płatów wywoływa zaburzenie w mowie etc. Wiemy, że pewne części mózgu służą za ośrodki wyższego życia psychicznego; w innych znów jest skoncentrowane... które są ośrodkami wyższych czynności psychicznych.

Zadanie, które wam przedstawiam do rozwiązania polega na tem, aby porównawszy podane wyżej części mózgu zwierząt, wysnuć wniosek, **która z nich funkcjonuje najprawdopodobniej jako ośrodek wyższego życia psychicznego.**

Odpowiedź wraz ze zwięzłem, logicznem uzasadnieniem należy przesłać do redakcji przed 8. maja b. r. Podać należy imię i nazwisko, oraz klasę szkoły średniej, do której uczęszcza przysyłająca rozwiązanie.

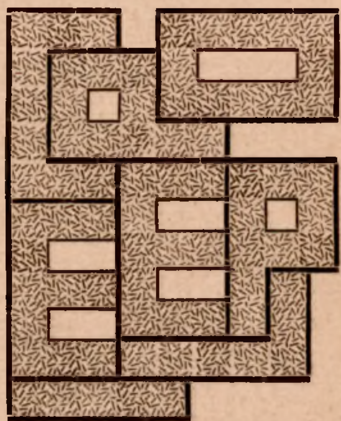
ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK z Nr. 7.

ZAGADKA.

1 R
2 D o n
3 R o b a k
4 K o l e n d a
5 B e r n o
6 R o b e r t B o y l e
7 R u b e l
8 M a r o k k o
9 G r y k a
11 O l a
12 e

Robert Boyle.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA



POPIELEC.

ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK II. 15. KWIETNIA 1926. № 8.

WEZWANIE DO MŁODYCH,

KTÓRZY DOSZLI DO 17-tu LAT!

Przyjaciele! Prosiliście mnie o hasło? o rozkaz? Chętnie je dam. Skoro bracia wasi dali się zabijać na wojnie, mógłbym lekceważyć młodych 17-to letnich, którzyby odkładali na później wyzyskanie swej odwagi!

Przychodzę więc pomówić z wami o bohaterstwie!

17-e lat! To wiek heroizmu, wiek powołania bożego i odpowiedzi nań ze strony człowieka, to wiek, w którym człowiek mierzy świat, sam sobie miarę zaznacza i czyni najdonioślejsze wybory.

W 17-tu latach Joanna d'Arc patrzy na upadek swej Ojczyzny, a w 19-tym ginie niosąc jej ocalenie.

W 17-tu latach Montalembert płacze z zazdrości, widząc Wilhelma Pitta wybranego 1-ym ministrem w 24-tym roku życia; on sam jednak w 19-tu latach wywalczy 1-sze wolności dla Kościoła Św. we Francji, pouczy na nowo swoje stulecie o tem, czem jest odwaga i honor prawdziwy; Ozanam zaś pouczy go na nowo o prawdziwem miłosierdziu.

W 17-tu latach wy także zamierzenia czynicie; Bóg Wam nasyła górne marzenia i zwraca ku wam swoje wołania. — Bylibyście nędznikami — gdybyście uciekali od tych wołań Bożych!

A tak określam tych, co nie dorośli do wymagać chwili, co zdradzają oczekiwania Boże!

Przyjdzie wam się mierzyć ze zdarzeniami niezwykłej wagi! Ostrzegam zatem! Rośnijcie duchowo, wydobywajcie ze siebie już dzisiaj wartości najcenniejsze, niestrudzoną pracę, śmiałość w wyborze waszych zamierzeń. Gdyby się tylko 1000 młodych ludzi stawiło do apelu, 1000 zdolnych zrozumieć taką mowę, 1000 gotowych złożyć w 17-tym roku życia przyrzeczenie, iż nie zestarzeją się, zanim nie wyrwą ziemi z pod nóg bezbożnych — by ją oddać Chrystusowi, wówczas bylibyśmy uratowani!

Jeżeli zbierze się was gromada gotowych poświęcić się sprawie Zwycięstwa Chrystusowego, to bądźcie pewni: pokolenie wasze nie minie, zanim nie przeprowadzi tych wielkich zamierzeń i zanim oglądać nie będzie dni zwycięstwa.

Od dziś za 20 lat naznaczam Wam termin spotkania się naszego, zapowiadam zebranie pod znakiem wielkomyślności.

Paweł Doncoeur.

(Tłom. z franc.).

LEON WYCZÓŁKOWSKI.



Czarny Staw nad Morskiem Okiem.

Charakterystyczną rzeczą dla prawdziwego artysty jest, iż on swój trud, swój mozół — kocha. Że tam, gdzie inni przemyśliwają jakby wysiłek swój zmniejszyć lub usunąć — artysta, z własnej woli, skazuje się na pracę, wymagającą właśnie jaknajwiększego, wewnętrznego wysiłku. Bo miłość swego dzieła każe mu coraz bardziej je doskonalić, — do granic możliwych dla niego lub dla tego dzieła.

Uwagi te nasunęły mi się, gdy myślałam o twórczości Wyczółkowskiego; trudno, bowiem, o doskonalszy przykład artysty, dla którego sztuka jest, jak gdyby, umiłowaną Ojczyzną, radosną pracą życia. W twórczości jego uderzającem jest nietylko rozwiązywanie zagadnień malarskich, np. światła, malującego kształt lub bryłę, — ale widoczne jest wielkie ukochanie swego dzieła. Po kilka razy, wraca nieraz do tego samego tematu, pragnąc jaknajgłębiej, jaknajpiękniej oddać swoje wrażenie, nie szczędząc trudu, aby dzieło udoskonalić.

Wyczółkowski urodził się w 1852 r. Studjował malarstwo najpierw w Warszawie, potem w Monachjum i w Krakowie, w Akademji Sztuk Pięknych, gdzie następnie przez długi szereg lat był profesorem.

Obdarzony temperamentem nawskroś malarskim i niezwykłą wrażliwością na świetlne i barwne zjawiska przyrody, Wyczółkowski upaja się pięknością tych zjawisk i w obrazy swoje przelewa wrażenia pełne zachwytu i miłości. Nie ogranicza się do jakiejś specjalnej dziedziny, krajobrazu czy portretu: równie bezpośrednio i głęboko odczuje czar płomienistego zachodu słońca w polu — np. obrazy „Rybak“, „Orka“. podane w tym zeszycie — jak piękność więzi róż, zamierających w kryształowym wa-



L. Wyczółkowski: Sz. Tatar (z Zakopanego)

zonie, a portrety jego przykuwają siłą ujęcia charakteru odtwarzanej głowy.

Z uczuciem, pełnem głębokiej poezji, maluje Wyczółkowski stare budowle miast polskich. Szczególniej Kraków, gdzie stale przebywa, a w Krakowie — Wawel jest dla niego wiecznie żywem źródłem. Czy to będzie obraz „Czarnego Chrystusa" w katedrze, czy motywy wnętrza, „Grobowce", „Sarkofagi", czy widoki ogólne zamku i katedry — zawsze to potężne i pełne uroku widzenie malarza, odczute z miłością przepojone poezją.

Bezpośredniość odczuwania Wyczółkowskiego, rozmach jego i energia każe mu szukać coraz nowych środków wypowiadania się, najbardziej zgodnych z jego naturą i z rodzajem odbieranych wrażeń, czyli środków najbardziej bezpośrednich. Stąd wielka rozmaitość techniki; Wyczółkowski, tworzy obrazy olejne, pastele, akwarele i rysunki.



L. Wyczółkowski: Rybak.



L. Wyczółkowski: Góral.

Najulubieńszym jednak środkiem wypowiadania się stała się dla Wyczółkowskiego grafika — czyli rysunek na kamieniu lub płytce metalowej, odbijany następnie na papier za pomocą specjalnej prasy. Sztukę graficzną doprowadził Wyczółkowski do mistrzostwa, pracując i obecnie ciągle nad jej udoskonaleniem, a stworzył w tej dziedzinie rzeczy tak wspaniałe i liczne, że mamy zamiar poświęcić im osobny zeszyt, poprzestając tutaj na wzmiance.

J. Brzeska.

ZDOBYCIE SAHARY.

2) (Ciąg dalszy).

Nieocenioną pomocą dla podróżnych są studnie artezyjskie i schroniska, pobudowane przy tych studniach. Francja usiała niemi dość gęsto uczęszczane zwykle trakty karawanowe, biorąc w ten kulturalny sposób pustynię w swe posiadanie.

Przy tych schroniskach pełnią czasem straż posterunki francuskie. Niekiedy czuwają nad niemi tak zw. „goumiers", tj. strażnicy rekrutowani z ludności miejscowej, do niedawna rozbójnicy, dziś wierni i chętni słudzy francuskiego rządu. Na swych wielbłądach przebiegają oni olbrzymie przestrzenie, strzegąc ładu i bezpieczeństwa w tych odludnych dziedzinach.

Jednak pomimo i schronisk i studzien ta część Sahary bywa już dość często świadkiem zgonów spowodowanych przez pragnienie. A zgony to potworne, poprzedzone męką okrutną, niekiedy szaleństwem. W ten sposób wymierają całe karawany, mniej liczne oczywiście i nie mające dość pewnych przewodników.

Nie należy jednak sądzić, że Sahara jest wyłącznie i tylko pustynią. Jej oazy, to siedlisko życia. W niektórych życie to koncentruje się w schroniskach, jedynie podróżni przynoszą je ze sobą.

Są jednak oazy z osadami stałemi, z wioskami, tonącemi wśród bujnej zieleni.

W sześć dni po rozpoczęciu podróży, zatrzymuje się wyprawa wśród wielkiej oazy In Salah. Pierwsza z czterech części drogi została odbyta szczęśliwie. Odpoczynek dwudniowy dodaje nowych sił. Nadzieje są jaknajlepsze. Dnia 24 grudnia ruszają podróżni ku górom Mnydir, gdzie czeka na nich od strony północnej postój aprowizacyjny.

Dzień wigilji. Serca biegną na północ — ku Francji. Przytem droga do Mnydir usiana kośćmi wielbłądów, które pragnienia i trudów podróży znieść nie mogły, niewesołe nasuwa myśli. O północy widać nagle ogień. To posterunek, pozostawiony przy studni, przez misję aprowizacyjną, na drodze ku Mnydir.

Przy tym ogniu krótki odpoczynek. Pisanie listów do domu, do ojczyzny. Wszakże tam już cieszą się Bożem Narodzeniem. Jeden z Meharystów [1]), którzy przeprowadzili ekspedycję z In Salah, zaniesie je, wracając do oazy. Stamtąd powędrują na północ.

[1]) Tak nazwani są przewodnicy wielbłądów „mehari".

W miarę coraz dalszej drogi, upał wzmaga się. Żar poprostu leci z nieba. Nie wstrzymuje to jednak dzielnych podróżników.

W tej części pustyni następuje pierwsze spotkanie z plemieniem wojowniczych Tuaregów. Ich fantastyczne, białe sylwety rysują się wyraziście na tle rozpalonego błękitu. Ci mieszkańcy Sahary byli do niedawna groźni dla Europejczyków. Dziś ulegają zwolna władzom francuskim i zamieniają się w wiernych sprzymierzeńców.

I znowu płyną dnie trudów zwyciężanych z francuskim humorem. Wyprawa przebywa szczęśliwie góry Hoggar „kraj trwogi", kraj największych ofiar w ludziach, jakie Francja złożyła, opanowując tę ziemię pustynną i jej dzikich mieszkańców. Wreszcie samochody mijają ostatnią studnię i przedostają się do pustyni Tenegronft, gdzie na przestrzeni tysiąca kilometrów niema ani kropli wody.

Pomimo werwy podróżnych, jakiś ciężar spada im na piersi. Widma zmarłych z pragnienia ofiar Sahary idą za nimi. A śmierć ta ma w sobie coś potwornego przez to, że woda, której brak sprowadza tak straszne cierpienia staje się zabójczą dla tego, kto jej zbyt długo nie pił.

Przytem ten „kraj pragnienia", ta pustynia Tenegronft — to najlotniejsza część Sahary. Więc tu podróżnych zasypują poprostu tumany drobnego, gorącego pyłu. Nie można jeść, nie można oddychać.

A nadewszystkiem góruje niepokojące zapytanie: Czy zapas wody, zabrany na tę część przeprawy starczy aż do pierwszej studni na południowych krańcach pustyni w Tin Zaouaten? Czy kapitan Céris będzie tam czekał z posterunkiem aprowizacyjnym wysłanym z Tombuktu?..

Dzień się kończy. Znużeni podróżni pragnęliby odpocząć. Ślady na piasku pouczają jednak, że liczna karawana przechodziła tędy. Przechodziła niedawno. Kto ją składa? Czy życzliwi Tuaregowie, czy jaka banda rozbójniczych reggons? Na to pytanie brak odpowiedzi.

Bezpieczniej jednak jechać dalej. Najbezpieczniej byłoby może pogasić latarnie. Ale jak orjentować się w ciemności? Palą się więc i światła samochodowe. Wóz naczelny kontroluje bacznie ich ilość. Znużenie jednak jest tak wielkie, że wszyscy pomału pogrążają się w jakimś dziwnym stanie pół snu, pół jawy. Naraz kierownik przodu-

jącego samochodu stwierdza fakt dziwny, a zarazem niepokojący: Oto ostatni wóz, zamiast dwóch świateł przednich, czerwieni się blaskiem jednej, tylnej latarni. W dodatku blask ten zmniejsza się z każdą chwilą. Jakaś siła nieznana pędzi zatem automobilem z powrotem. Może go otoczyli opryszkowie i pod groźbą śmierci zmusili, by dążył z nimi?



I oto cały konwój zawraca, żeby nieść pomoc towarzyszowi. Pędzą z największą szybkością, dopędzają. Nic podejrzanego dookoła. Naraz z wozu odzywa się senny, napół tylko przytomny glos kierownika:

— Co to? Co się stało?

Okazuje się, że biedny chłopiec zmożony całodziennym wysiłkiem, usnął przy sterze i tak dobrze nim kierował przez sen, że samochód, obróciwszy się na osi, zaczął umykać z powrotem ku północy. Oczywiście znowu śmiech wesoły kończy tę przygodę.

Nareszcie zbliża się koniec trudów. Według obrachowań podróżnych, studnia Tin Zaouaten powinna być niedaleko! Czy czeka tam posterunek kapitana de Céris?

O godzinie trzeciej popołudniu słychać strzały. O radości! Wysłańcy najpierwszej z południowych stacyj śpieszą na spotkanie wyprawy. Krótkie, gorączkowe powitanie. Najcięższa część podróży już jest zatem odbyta.

A spotkanie z posterunkiem aprowizacyjnym nastąpiło punktualnie w dniu zgóry oznaczonym, jakby na zwykłej, turystycznej wycieczce.

Odtąd podróż odbywa się w warunkach mniej uciążliwych. Coraz częściej wśród pustyni widać przestrzenie zielone, coraz liczniejsze stada zwierzyny zabiegają drogę samochodom. Dokucza tylko nieznośnie kolczasta roślina cram-cram, która wciska się w buty, pod ubranie, raniąc skórę niemiłosiernie.

Biedna, maleńka Flossie nie wychodzi z samochodu z obawy przed tym kolącym chwastem.

Na tej przestrzeni Sahary spotykają się uczestnicy wyprawy z plemionami murzyńskiemi, które tak dzielną pomoc niosły Francji podczas wielkiej wojny. Na tej przestrzeni również przeżywają podróżni dwa niezwykłe wrażenia: oto najpierw pożar stepów, zapalonych nieostrożnie wyrzuconą racą, i fatamorganę, stawiającą przed ich znużonemi oczyma obraz olbrzymiej, szeroko rozlanej rzeki.

Wypadek z pożarem kończy się pomyślnie dzięki temu, że wicher pędzi płomienie w przeciwną stronę. Łudząca zjawa Nigru ginie bez śladu, ale jakaś nieznana przedtem rzeźwość powietrza poucza, że ten Nil Afryki środkowej jest już niedaleko.

Wreszcie ukazuje się naprawdę ta życiodajna rzeka, która kraj dotąd pustynny zamienia w najżyzniejszą glebę. W forcie Bourem, położonym na prawym brzegu Nigru, zatrzymują się podróżni na dobrze zasłużony odpoczynek i wkońcu 7-go stycznia 1923 r. stają przed bramami Tombuktu.

I oto następuje najuroczystsza chwila.

Francja kolonjalna wita radośnie wysłanników Francji — macierzy. A w tajemniczem, do niedawna jeszcze dla Europejczyków niedostępnem Tombuktu, na placu Goffre wręcza jeden z kierowników wyprawy władzom miejscowym pierwszy „Kurjer Transsaharyjski“ — pierwszą zapowiedź regularnej, europejskiej komunikacji przez piaski pustyni. Do Paryża zaś leci radosny telegram z wieścią o pomyślnie ukończonej podróży.

M. Dynowska.

(Dokończenie nastąpi).

BAL W MAŁYM DWORKU.

Dostałem domek maleńki,
Ot, tyci, tyciusieńki,
Domeczek z drewna,
Lecz dusza moja śpiewna,
Zaprosiła gości huk,
Niechaj wejdą na pokoje,
Na pokoje własne, moje,
Wszedłbym sam, lecz gdybym mógł.
Tam dzieweczki, jak kwiatuszki,
Serca cudne, cudne nóżki
Delikatne, małe rączki,
Uśmiech wonie, buzia pączki,
Tam młodzieńce, jak kaczeńce
Dumne pany — tulipany,
Zapraszali w chwiejne tany:
„Janek"! „Janek"!
Jam przez błękit się firanek
Wkradał oknem, jak poranek,
Cóż? błękitny daszek domu,
Nie naprzykszy się nikomu,
A pokoje,
Własne, moje
Muszą bardzo piękne być.
A pianino...
Oczy zginą!
Przez firanki, przez cieniuchne,
Na tańczące pary dmuchnę,
Dmuchnę szczęściem, dmuchnę wiosną,
Niech się wzmogą i urosną.
Nad oknami kwitną róże
Woniejące, białe, duże,
Rosną białe i różowe.
Ah, zatańczyć, jak z Elfami,
Duszki proszą: tańcz-że z nami.
Przez pokoje
Własne... moje,
Poloneza tańczą duszki,
Maki polne i ostróżki,
Pączki małe, małe nóżki,
Dumne pany, tulipany,
Karabele i żupany,
Karabele i kontusze,
Pawie pióra, pióropusze.
Damy szepcą o amorku,
Przedwiekowe markizety,
Cud mężczyżni, cud kobiety,
W malusieńkim tańczą dworku.

Jan Sztaudynger.

KARTKA Z ŻYCIA.

2) (Ciąg dalszy).

— W tej chwili zawołam służącego — trochę niechętnym tonem odpowiada zagadnięty i oddala się, a Adelka łaje siostrę.

— Pelciu, jak mogłaś być tak mało uprzejmą wobec pana Włodzimierza, toż to już człowiek poważny, na wybitnem stanowisku. On tak się uprzejmie do ciebie zwrócił, a ty potraktowałaś go, jak lokaja.

— Ja to umyślnie zrobiłam — uśmiecha się Pelcia rada, że jej się udało. Skoro jest, jak powiadasz taki poważny, toć niech taniec młodszym zostawi. Nie czuję do niego najmniejszej sympatji! Co też teraz robi pan Piotr? Pewnie myśli o tobie Adelko!

Twarz Adelki lekko drgnęła, ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej chwili nadszedł nowy danser i uprowadził ją w koło tańczących.

Pelcia dojrzała zdaleka pana Włodzimierza, zmierzającego ku niej z talerzykiem w ręku i w tej chwili mimo pragnienia postanawia zniknąć mu z oczu, nie chce zawdzięczać mu niczego. Zwinnym ruchem, jak kotka, prześlizgnęła się znowu za kanapą starszych pań i zniknęła za staroświecką firanką.

Rozpalonem czołem wsparła się o chłodną szybę. Jak cudnie wygląda ośnieżony ogród w blaskach srebrnego księżyca! Jak gwiazdy skrzą się i mienią! Ileż milej tam, na swobodzie, niż tu, w dusznym salonie! Co za dziwna przyjemność bez potrzeby i żadnej korzyści męczyć się tańcem i pocić, skakać, myśli Pelcia. Takie nudy! stokroć wolałabym być w domu, spędzić czas nad zajmującą książką, a jutro być z koleżankami w klasie. Ale trudno, trzeba się dostosować do upodobań drugich.

Muzyka umilkła, może podadzą nareszcie obiad weselny? Czy tylko ciocia nie rozgniewa się, gdy spostrzeże, że zamieniłam kartki przy nakryciach? No, trudno, niech się dzieje co chce, muszę być blisko Adelki! Doskonale mi się udało, naprzeciw siebie siedzieć będziemy, ale ten łysy mecenas, pan Włodzimierz, pewnie zzieleniej przekonawszy się, że ma być przy stole sąsiadem tej chudej, czarnej panny Heleny; pewnieby wolał asystować Adelce? Nic z tego, mój panie, obiecałam panu Piotrowi i czuwam.

Tymczasem słychać stłumiony gwar licznych głosów, muzyka znowu zagrała poloneza, pary ustawiają się i ruszają do jada'ni.

— Panno Pelciu! Panno Pelciu! Gdzie pani?

Mamy iść razem do obiadu — słyszy Pelcia głos młodego akademika, szukającego jej napróżno i potem zdaleka dochodzi jej uszu utyskiwanie matki.

— Gdzie ta dziewczyna się podziała? Czy tylko nie pobiegła w lekkiej sukience do ogrodu? Gotowa się zaziębić.

Głosy milkną, oddalają się, czas wyjść z kryjówki. Pelcia pędem wybiega do sąsiedniego, małego saloniku, stamtąd do sieni i nim całe towarzystwo zdążyło wejść do jadalni, ona bocznemi drzwiami wślizgnęła się i niepostrzeżenie stanęła przy swojem nakryciu. Podnosi oczy i widzi, że mimo wszystko mecenas z zaokrąglonym brzuszkiem zdobył jednak miejsce koło Adelki i z triumfującym uśmiechem spogląda na nią.

— A gdzież to panna Pelcia zniknęła? Na darmo sam lody przyniosłem.

W tej chwili zaczęto usuwać krzesła i siadać, co Pelcię uwolniło od obowiązku dania odpowiedzi.

Pelcia w czasie tej długiej uczty weselnej siedzi jak na rozżarzonych węglach. Rozpacz ją chwyta, gdy widzi jawne zajęcie się pana Włodzimierza Adelką i ją, tak chętnie przyjmującą jego względy. Co robić? Co robić? Jak zaradzić złemu? Kotłują jej w głowie myśli i bez ładu odpowiada na pytania młodego akademika, uważającego sobie za obowiązek bawienie jej. Pewnie pomyśli o mnie, żem gąska? Mniejsza z tem, byleby tylko ten nieznośny mecenas odczepił się od Adelki.

Ktoś przy drugim końcu stołu wygłasza długą i nudną mowę. Małe kółko młodzieży około Adelci i Pelci szeptem zamienia krótkie zdania, ale za chwilę zalega zupełnie cisza. Adela czuje na swej twarzy wzrok pana Włodzimierza, patrzy jednak gdzieś wdal, zamyślona.

Pelcia nie spuszcza jej z oczu, decyduje się i odzywa:

— Adelko, budzę cię w kolorze brunatnym.

Bezwiednie prawie drgnęły usta Adeli i szepnęła gorąco:

— Kocham!

— Pan Piotr — pada dobitnie z ust Pelci.

— Tak? A któż to taki? nerwowo uniósł się mecenas na krześle i spojrzał Pelci w oczy.

— To nasz dobry przyjaciel, którego obie bardzo lubimy, wart jest najwyższego szacunku — z zapałem, jednym tchem wyrzuca z siebie Pelcia.

— Zazdroszczę mu w tej chwili przyjaźni pani, panno Pelciu — uśmiecha się nieszczerze mecenas i pochylając się ku Adeli pyta:

— Panno Adelo, czy wolno prosić o wyjaśnienie odpowiedzi danej pannie Pelci, czy serce pani jest już zajęte?

Odpowiedzią Adeli jest śmiech cichy, ale taki szczery, że nie podobna wątpić, zwłaszcza, że z ust jej padają tak wyraźnie słowa:

— Serce moje jest zupełnie wolne.

Tej krótkiej wymiany słów Pelcia już nie dosłyszała, wszczął się bowiem ruch i zaczęto wstawać od stołu.

W tej chwili matka zbliżyła się do Pelci z uśmiechem, rozpromieniona.

— Czy uważasz, jak nasza Adelka ogólnie się podoba? Ogromne ma powodzenie, mecenas tak jej asystuje! Świetna partja, anim marzyć o takiej nie śmiała.

— Ależ mamo, on już stary, łysy, niesympatyczny — wybucha Pelcia, i — i...

Już, już chciała napomknąć o panu Piotrze, ale przypomniała sobie, że jest związana tajemnicą, nie może jej zdradzić, więc zamilkła, tylko krew jej uderzyła do głowy i oczy zalśniły się łzami.

— Tak cię buzia pali, masz głowę gorącą, oczy ci błyszczą gorączką. Idź Pelciu, połóż się lepiej, ty i tak nie bawisz się!

W tej chwili zbliża się ku matce z atencją i uprzejmemi słowami mecenas, więc mama promieniejąca zadowoleniem uprzejmie z nim zaczyna rozmawiać i zapomina już zupełnie o Pelci.

Dziewczynka tak boleśnie zacisnęła ręce, że aż kości zatrzeszczały.

— Wszystko stracone! Świetna partja! On już i mamę pozyskał! Biedny, biedny pan Piotr! Nie będę mieć brata, nie będę...

I tłumiąc łkanie pobiegła Pelcia na górę, do gościnnego pokoju i nie rozbierając się, rzuciła się na łóżko.

— Nie będę mieć brata... Ja tego pana Włodzimierza nigdy nie pokocham. Adelcia nie będzie z nim szczęśliwa! Ach, ja i Adelcię chyba kochać przestanę. Jakże kochać, gdy się nie może szanować, a skądże można mieć szacunek dla istoty tak płochej i niesłownej, jak moja siostra?

Wstyd, wstyd! I co ja powiem panu Piotrowi, co ja mu powiem?

Twarz wciśnięta w poduszkę zalewa się łzami, ramiona wstrząsają się łkaniem. Trwa to długo, długo. Sen się nie zjawia, by ukoić cierpienie wrażliwego serca.

Nareszcie cichutko skrzypnęły drzwi, ostrożnie

weszła Adela i widząc siostrzyczkę leżącą w sukni na łóżku, usiadła koło niej i za ramię ujęła.

— Pelciu, czemuś ty się nie rozebrała? Co to? Czy ty jeszcze nie śpisz? Płakałaś, czemu? Co ci się stało?

Spłakaną twarz Pelcia ku siostrze podnosi.

— Pytasz się o to? A przecież ty sama jesteś tego powodem. I wezbranym potokiem popłynęły z ust młodszej siostrzyczki słowa wyrzutów, oburzenia i żalu.

Adela długo milcząc słuchała, może w głębi duszy czuła słuszność wymówek, wreszcie odezwała się pojednawczo:

— Moja kochana Pelciu, wierz mi, że ty wszystko zbyt gorąco do serca bierzesz! Nie obawiaj się o pana Piotra, prędko się pocieszy, z miłości nikt nie umiera, to się tylko tak mówi. A co do partji, moja droga, to przecież porównania niema. Chociażby nawet doszła pana Piotra owa posada głównego inżyniera, to i cóż, całe życie przyszłoby mi spędzić w zabitej deskami, małej mieścinie, a pan Włodzimierz mieszka w stolicy. Pomyśl — teatr, koncerta, życie towarzyskie. Przyjedziesz do nas, będziesz się bawić, bywać, wydamy cię dobrze za mąż, zobaczysz!

— Nie, nie! Nie chcę, nie, nie chcę, idź odemnie, odejdź, nie mów już więcej!

(Dokończ. nastąpi). *Paula Wężykówna.*

„M A R Y J K A"

15) Powieść dla dorastających panien.

Stało się jednak inaczej. W pierwszych dniach czerwca Maryjka i p. Zofja otrzymały listy z poczty. Widząc na kopercie pismo przełożonej, Maryjka ze swym skarbem wybiegła do siebie. Nie lubiła czytać listów drogich sobie, w obecności obcych.

„Zmartwi Cię list mój, pisała p. Ptaszyńska, ale dziecko drogie nie przerażaj się, bo nic złego nie grozi. Z nadejściem wiosny serce moje zaczęło trochę słabnąć i ot Tomiłowiczowa, narobiła z tego wielkiego hałasu. Zwołała konsyljum i ono orzekło, że potrzebny jest wyjazd do Nauheim. — Dom już pusty, bo ani uwierzysz jak energicznie zabrała się do wszystkiego poczciwa moja siostrzenica. Paszporty gotowe i za dwa dni jedziemy obie z Tomiłowiczową, której również pobyt w Nauheim jest zaleconym. Nie dziw się, że Ciebie nie wezwałam, ale i nie przypuszczałam, że to tak prędko pójdzie i że wogóle gdzieś pojadę. Szczerze mówiąc, wolałabym na Belmoniu lub na Antokolu przebyć parę miesięcy, ale lekarze słuchać o tem nie chcą. Olesia też powiedziała, że jeśli nie pojadę, to i ona zostanie. A jej ta kuracja bardzo jest potrzebna".

List wypadł z rąk Maryjki i mężna zawsze dziewczyna wybuchnęła płaczem. Ukochana opiekunka chora a ona przy niej być nie może... Tamta, zawsze tamta, zajmuje jej miejsce... Jakże bardzo czuła się pokrzywdzoną.

Płakała długo i po chwili dopiero dokończyła czytania listu. Przełożona chciała, by wakacje spędziła w towarzystwie swej dawnej przyjaciółki Julci Dolskiej, w Birsztanach i na pobyt ten zostawiła u p. Marji w Wilnie 500 rubli.

Nie chcąc by kto dostrzegł ślady jej łez, obmyła oczy, zawołała swe uczennice i poszła z niemi na przechadzkę. Przyłączyli się do nich p. Ignacy z Józiem. proponując spacer łodzią po Dźwinie.

Wieczorem całe towarzystwo po długiej jeździe łodzią zjawiło się w świetnym humorze na kolację. Józio twierdził, że p. Marja wiosłuje niczem stary wioślarz i silniejszą jest i zręczniejszą w tem od p. Ignacego, który tylko ster trzymać umie.

Świeże powietrze i ruch, a przytem silna wola przyczyniły się do zatarcia wszelkich śladów płaczu i niepokoju młodej dziewczyny. Nikt też z domowych nie dostrzegł jej bolu i smutku.

Po kolacji p. Zofja z Maryjką wyszły na werandę.

— Otrzymałam dziś niespodzianą wiadomość — rzekła p. Zofja. — Ojczym mój chory, musi jechać na kurację, do Trenczyna, Matka naturalnie jedzie z nim, a Nell lato spędzi w Powienuszcze.

— A to się pani cieszy przybyciem siostry na czas dłuższy — zawołała Maryjka. — Sądzę, że życiu pana Roińskiego nic nie grozi?

— Nie, cierpi bardzo, bo atretyzm, to bolesna choroba, obawiam się, że biedna mama będzie miała z nim sporo kłopotu. Nell zawadzałaby im tylko. Cieszę się, że ją będę miała niepodzielnie tu dla siebie i ułożyłam sobie pewien projekt, w którym może mi pani zechce być pomocną.

— W czem? — zapytała zaciekawiona.

— Będę z panią zupełnie szczerą. Moja ukochana Nell, śliczna, czarująca istota, nie jest Polką.

— Jakto? Czyż ojczym pani nie jest Polakiem?

— Jest Polakiem i katolikiem — odparła p. Sewerynowa — jednak to go bardzo mało obchodzi. Jest kosmopolitą w całem tego słowa znaczeniu. Chodzi mu o stanowisko, tytuł, stosunki. Czy ja wiem zresztą o co. Matka najlepsza w świecie osoba, zupełnie zostaje pod jego wpływem. Nell wyrosła i wychowała się w środowisku, do którego wpływy polskie dostępu nie miały. Gdy miała iść do szkoły namawiałam matkę, by ją oddała jeśli już nie do jakiego klasztoru w Małopolsce, o czem ojciec nie pozwoliłby jej wspomnieć, to bodaj na

pensję do Warszawy. Mama nie mogła zdecydować się na rozstanie z wątłą dość dziewczynką, a ojczym mój był za wychowaniem jej na francuskiej pensji w Petersburgu. Mieszkała więc w domu i uczęszczała do zakładu. Jest inteligentną, śpiewa, gra i tańczy ładnie, posiada pewien zasób wiadomości, ale o Polsce — nic.

— Dziś pomyślałam sobie, że gdyby pani droga zechciała z nami spędzić wakacje, to może wspólnie wielebyśmy zrobiły. Jesteście rówieśnicami. Młodzi łatwo ze sobą zbliżają się. Wspólne przechadzki, rozmowy i czytanie wieleby tu zdziałać mogły. Czy pani zechce spędzić z nami lato? Czy p. Ptaszyńska nie będzie miała nic przeciw temu?

Maryjka podniosła się z ławki.

— Dziękuję pani za zaufanie — rzekła. — Trudno mi na to odpowiedzieć zaraz. Może zechce pani zostawić mi tę noc do namysłu.

Rozstały się i każda poszła do siebie. Maryjka zdecydowała się w jednej chwili na pozostanie jeszcze w Powienuszce. Nie mogła jednak tego zaraz powiedzieć, bo musiałaby wspomnieć o tem, że p. Ptaszyńska chora. Na tę myśl łzy dławiły ją. Czuła, że płakać będzie w głos. Chciała się opanować.

Nazajutrz wszystko ułożonem zostało ku wielkiej radości całego domu. Nell przyjeżdżała za dwa tygodnie. Przedtem więc lekcje z dziewczynkami miały być zakończone, a opiekę nad niemi podczas lata miała objąć p. Legrand, Francuska, dawna bona p. Zofji, a następnie Nell, która ją do siostry odwoziła.

Hala i Jadzia trochę się krzywiły na tę zmianę, ale pocieszały się tem, że Maryjka zostaje w Powienuszcze i mimo wszystko będą z nią razem.

Nell przyjechała i zaraz cicha Powienuszka napełniła się gwarem i życiem.

Nell była małego wzrostu, miała dziecinną, drobną twarzyczkę o przejrzystej porcelanowej niemal cerze z prześlicznemi rumieńcami i dołeczkami, pąsowe jak dwa płatki różowe, usta, zgrabny cienki nosek, śliczne zielone oczy, a nad niskiem, białem czołem zawsze rozwichrzone wijące się loki, kasztanowate włosy. Gdyby nie długa suknia, to możnaby ją było wziąć za rówieśnicę Jadzi i Hali, które ją z całym szacunkiem ciocią nazywały i oczarowane były nią najzupełniej. Ciocia Nell umiała z niemi skakać przez sznur, biegać z kółkiem, gonić się zrobiła nawet raz to o czem nie śniło się nietylko dziewczynkom, ale i swawolnemu siostrzeńcowi. Wskoczyła na duży stół w jadalnii i zatańczyła na nim w kółko jakiś taniec, ku ogólnej uciesze młodego towarzystwa.

— Nell, Nell, co ty wyprawiasz — zawołała niby surowym głosem p. Zofja.

A maleńka jednym skokiem skoczyła siostrze na szyję i oplatając ją drobnemi rączynami wołała:

— Już nie będę, nie, tylko nie gniewać się na małą Nell, nie gniewać.

I rzeczywiście niktby nie miał serca gniewać się na to śliczne dziecko.

Dzieckiem już nie była i zaraz po przyjeździe do Powienuszki, opowiadała ze śmiechem siostrze i szwagrowi, że maluczka a nie zaprosiła ich na swój ślub.

— Papa i mama bardzo chcieli, żebym poszła za generała — mówiła.

— Za jakiego znowu generała — zapytał p. Seweryn.

— Barona von Zur Muhlena, generała gwardji cesarskiej, — trzepała Nell — on za mną tak i światu nie widział...

— Ależ to Moskal — zawołał zirytowanym głosem p. Seweryn. — Czyżby twoi rodzice chcieli cię wydać za niego.

— Nie zupełnie, on ruski — poprawiła Nell — tylko baron niemiecki, no i w wojsku rosyjskiem służy, ale to wszystko głupstwo czy on ruski czy Niemiec, to ważniejsze, że już stary. Za dwa lata pójdzie do dymisji. Ja nie chcę iść za starego i choć mama bardzo mnie namawiała, bo on i w Pitrze [1]) ma swój pałac i gdzieś koło Rygi majątek ogromny i obiecywał, że mnie obsypie brylantami, ale ja nie chciała i powiedziała mamie, że się utopię, jak mnie będzie namawiała a taki za starego nie pójdę.

Pani Zofja zacisnęła usta słuchając tych słów, a p. Seweryn targnął sumiastego wąsa, co u niego było oznaką złego humoru.

— Macie tu fortepian — zapytała raz Nell, wchodząc do domu, ze zwojem nut.

— Muszę coś staruszkowi zaśpiewać — i to mówiąc, położyła nuty na pulpicie, a zbliżywszy się do p. Seweryna zaczęła go pieszczotliwie gładzić po czole. — Dziś staruszek taki chmurny.

Uśmiechał się p. Seweryn do ślicznej dziewczynki, ucałował końce jej drobnych paluszków, ona zaś pobiegła do fortepianu, otworzyła go i zaśpiewała.

Głos miała niewielki, ale dobrze uczony, bardzo czysty. Zaledwie jednak zaśpiewała pierwszą strofkę, pan Seweryn wstał z takim impetem, że się krzesło pod nim przewróciło i wyszedł do siebie, zamykając drzwi z trzaskiem.

— Co się stało? — zawołała Nell zrywając się od fortepianu.

— Nic, nic, uspakajała p. Zofja — tylko widzisz kochanie, my tu rosyjskich pieśni nigdy nie śpiewamy. Seweryn tego wprost nie znosi.

— A więc trzeba mnie było uprzedzić — zawołała Nell — chociaż naprawdę ja nic tego nie rozumiem, przecie to są prześliczne cygańskie, nie ruskie romansy. Cały Petersburg tem się zachwyca.

— Tu nie chodzi Nellutko — łagodziła siostra — o to coś śpiewała, ale o sam język, którego w domu naszym nie używamy.

Rozumiem, rozumiem — mówiła rozsierdzona Nell — i już więcej śpiewać nie będę, chyba: Wlazł kotek na płotek.

— Chciałam zrobić przyjemność, a tu na mnie stołkami ciskają, trzaskają drzwiami — i wciskając piąstki do oczu rozpłakała się jak małe dziecko.

Chciała ją pani Zofja utulić, ale zerwała się, chwyciła nuty i uciekła do siebie.

---

[1]) Piotrogrodzie.

— Widzi pani — rzekła p. Zofja do Maryjki — jakie my jesteśmy biedne. Tak bliskie i tak dalekie.

W parę dni przyjechała pani Stefanja Żarska, serdecznie, jak zawsze, powitała Maryjkę, Nell zapowiedziała, że muszą się bliżej ze sobą poznać i liczy na to, że przyjazd jej ożywi całą okolicę, a potem, pociągnęła p. Zofję na kilka słów poufnych. Panny poszły do ogrodu, gdzie Nell ułożyła się w hamaku, a Maryjka czytała jej głośno. W ten sposób zazwyczaj odbywały się lekcje literatury polskiej. Uczyć się inaczej Nell nie chciała.

Za chwilę nadeszły dziewczynki z p. Legrand.

— Mama prosi p. Marję do siebie — wołała Hala a Jadzia wpakowała się do hamaku.

— Obmyślcie tam jaką wesołą zabawę — zawołała wślad za idąca, Maryjką Nell. — Już tydzień jak tu jestem i jeszcze żadnej nie było.

Nie przypuszczała Maryjka po co ją wzywają. W pokoju zastała tylko p. Żarską, która ściskając ją najserdeczniej, prosiła, by zechciała zostać żoną brata jej męża, pana Jana Żarskiego.

Maryjka spojrzała zdumiona na panią Stefę.

— Ależ ja pana Żarskiego nie znam i on mnie również — rzekła.

— Jakto? — zawołała p. Stefa — nie pamiętasz kochanie Janka? Przecie poznałaś go u nas, podczas świąt, na imieninach moich. Tańczyliście ze sobą mazura.

— Tak — szepnęła Maryjka — pamiętam to, ależ to jeszcze nie znajomość.

— A widzisz — mówiła p. Żarska, obejmując wpół siedzącą koło siebie na kanapce Maryjkę — widzisz, że go pamiętasz, a on zna ciebie, podobałaś mu się ogromnie, mówił mi o tem, zachwycony był twą urodą. Nie mógł być w Powienuszce, by cię raz jeszcze zobaczyć, bo urlop jego się kończył. W każdym jednak liście pyta o ciebie, musiałam mu o tobie wszystko donosić. Teraz zaś nie wiedząc, że wakacje spędzasz tu, prosił bym cię zapytała, czy pozwolisz mu przyjechać do Wilna i prosić cię o rękę. Jest bardzo zajęty swą pracą i zwolnić się na długo nie może. O ile więc, zgadzasz się, to on się tak urządzi, by zaraz ślub wziąć i porwać swój skarb na Ural, gdzie pracuje jako inżynier.

Maryjka zdobyć się na odpowiedź nie mogła, a p. Stefa wierząc przysłowiu, iż kto milczy ten się zgadza, zaczęła jej opowiadać o wielkich zdolnościach Janka, o poważnem stanowisku jakie zajmuje i o świetnej w przyszłości karjerze.

Pani Zofja niby przypadkiem wsunęła głowę przez drzwi, a widząc zapłonioną i zmieszaną Maryjkę i p. Żarską uradowaną wpadła z życzeniami i powinszowaniami. Obie kobiety prześcigały się w pochwałach p. Jana i obrazach przyszłego szczęścia Maryjki.

W miarę jednak ich słów, przytomność wracała młodej dziewczynie. Targnęła się w jej duszy jakaś struna dotąd uśpiona, zrozumiała, że przyszła chwila, w której musi sama o sobie stanowić i z całą serdecznością dziękując p. Stefie za jej dobroć i życzliwość, powiedziała, że nie może zostać żoną pana Jana Żarskiego.

Obu paniom ręce opadły. Taka świetna partja i odrzucona?...

— Nie znam p. Jana Żarskiego — mówiła spokojnie Maryjka — wdzięczną mu jestem za jego uczucia, ale żoną jego nie mogę zostać. Nie kocham go.

Powiedziała to tak stanowczym głosem, iż trudno było nalegać dalej. Odjechała więc z niczem p. Stefa. Wieczorem p. Seweryn dowiedział się od żony o tem co zaszło i aż w dłonie z radości uderzył.

— Zuch, złota dziewczyna — zawołał — podoba mi się, jak Boga kocham podoba, oto co się nazywa Polka.

— Ależ bój się Boga, Sewerciu — rzekła żona — przecie i Żarski Polak, stanowisko ma świetne, partja doskonała zwłaszcza dla ubogiej nauczycielki.

— Te, te, te, partje świetne, a czyż ty kobieto miarką złota mierzysz szczęście. Powiadam ci, że onaby się tam udusiła. Taka jak ona kobieta i mąż, Australczyk skończony. Jemu zawsze o pasztet będzie szło, a jej o ideę i to miało być szczęściem.

O tych oświadczynach Maryjka nie wspomniała nikomu, nawet pisząc do przełożonej, nie poruszyła tej sprawy. Nell jednak dowiedziała się o wszystkiem od p. Sewerynowej i zdumienie jej nie miało granic.

— Młody, mówisz — pytała siostry — przystojny, bogaty, zdolny człowiek ze stanowiskiem i uboga nauczycielka odrzuciła go? Jakąż ona partję zamyśla zrobić. Czy królewicz jaki zjedzie po nią jak w bajce. Już ja muszę o tem z nią pomówić.

— Nell, Nell, ani się waż tego zrobić — zawołała p. Zofja. — Nigdybym ci tego nie wybaczyła.

— No dobrze — odparła — jak nie, to nie. Zresztą co mnie to obchodzi.

Sprawa p. Żarskiego poszła w zapomnienie. Szło o rzeczy ważniejsze, bo o szereg zabaw, jakie się miały odbyć w okolicy.

W Powienuszce były dwie ładne panny, w Jeziornej młode małżeństwo, w dalszej okolicy na pannach nie zbywało, a wakacje ściągnęły na wieś sporo młodzieży z wyższych i średnich zakładów. Codziennie więc niemal odbywały się sąsiedzkie odwiedziny, urządzano wycieczki łodziami, tańcujące podwieczorki i t. p. przyjemności.

Wiadomości z Nauheim przychodziły pomyślne i uspokojona o zdrowie opiekunki Maryjka, chętnie brała udział w zabawach.

Obie z Nell dzieliły między sobą królowanie gdzie się pokazały. Nell zachwycała starszych panów swą drobną postacią, śliczną twarzyczką i naiwnością dziecka. Umiała tak przystosować się do każdego, tak cieszyła się, gdy komu zrobiła przyjemność, iż tem samem zjednywała sobie ludzi. P. Seweryn zapomniał o cygańskich romansach i z przyjemnością słuchał, gdy srebrnym, jak dzwoneczek głosem, śpiewała mu polskie piosenki, jakich się tu specjalnie dla niego nauczyła.

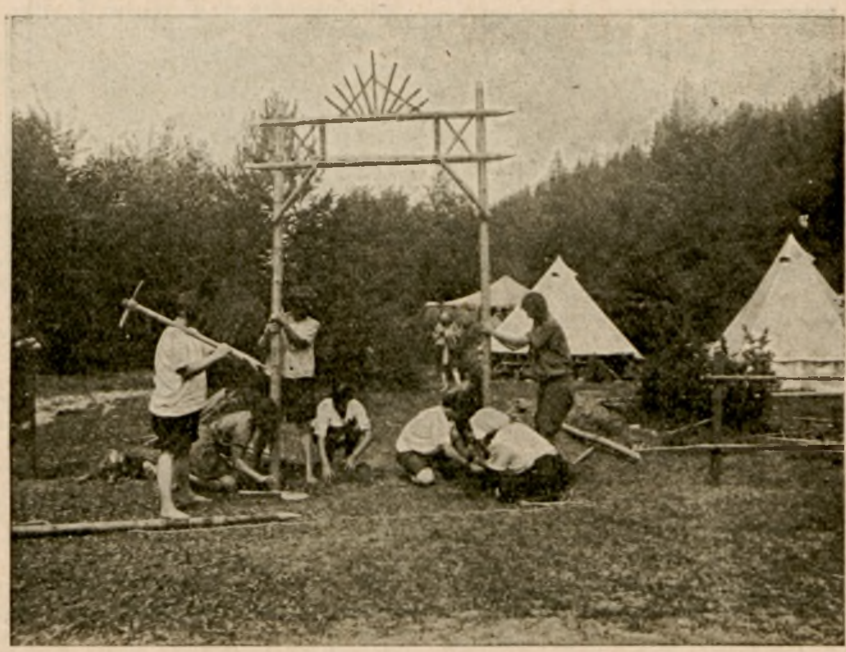
Maryjkę otaczała przeważnie młodzież akademicka. Zaciekawiała ją ta złotowłosa dziewczyna, która tu pierwsza poczynała tak śmiało szerzyć oświatę wśród ludu.

(C. d. n.). *Marja Reuttówna.*

LIST Z WAKACYJ.

Haneczko!

Spełniły się moje marzenia, jestem w obozie! Kto takich chwil nie przeżywał, nie może ich sobie wyobrazić. Serce przepełnione tylu cudownemi uczuciami, zdaje się, że rośnie, olbrzymieje radością, miłością dla tego pięknego świata, wdzięcznością i czcią dla Boga, który go tak cudnym uczynił!



Po nocy słodko i cicho przespanej pod płótnem namiotu wśród zapachu łąk i lasu, budzimy się na gwizdek druhny oboźnej, a narzuciwszy pośpiesznie stroje ćwiczebne wybiegamy czemprędzej na linję zbiórki, aby odśpiewaniem porannego hejnału wznieść myśl ku Stwórcy i pozdrowić wstające słońce, którego złociste promienie już strzelają z za wzgórz i lasów, płoszą cień i rozpraszają liljowo-rożowe mgły. Ogromnie lubię ten nasz hejnał, często łzy wzruszenia napływają mi do oczu, gdy tak wszystkie cicho, cichuteńko nucimy: „wstaje dzień, słońce już wzeszło z pól, wzeszło z gór, wzeszło z mórz, płoszy cień, zbudź się już, Bóg jest tuż"... Głosy nasze naśladując trąbkę rosną, potężnieją, niosą się echem...

Potem 15 minut gimnastyki, po której rzeźwe i pełne ochoty do życia pędzimy do namiotów, ubieramy się, myjemy się w rzece, sprzątamy swoje namioty i na oznaczony moment gromadzimy się znów, by odmówić poranne pacierze, odśpiewać „Kiedy ranne wstają zorze" i oddać cześć sztandarowi, który po skończonej modlitwie wznosi się powoli i poważnie na szczyt masztu.

Z wilczym apetytem zjadamy nasze śniadanie, przyrządzone przez kucharki na ten dzień wyznaczone i zabieramy się do rozmaitych prac objętych planem dnia każdego. Więc rozchodzimy się zastępami na ćwiczenia przeróżne w terenie, przerabiamy samarytaństwo, przyrodoznawstwo, metodykę ćwiczeń, wykończamy roboty około urządzenia obozu, bo trzeba ci widzieć, że obóz urządzają harcerki same, a duma przepełnia nasze serca na widok naszych stołów, ławek, półeczek mostu nad potokiem,

ślicznej bramki i oparkanienia; zresztą podziwiaj sama na fotografjach, które załączam.

Po obiedzie sporządzonym przez też same druhny-kucharki cisza godzinna, wypoczynek, potem każda zajmuje się swemi własnemi sprawami, pisze listy, robi notatki z odbytych ćwiczeń, czy sobie coś naprawia.

Na wspólnych znów zajęciach, grach, podwieczorku schodzi czas aż do kolacji, po której następuje najbardziej uroczysty moment prostują nasze zdania, dowiadują się o naszych planach pracy przez okres roku szkolnego. Po gawędzie śpiew. Płyną jedne za drugiemi piosenki wesołe i poważne, las szumi, niedaleko potok szemrze, nieopisane uczucie radosne piersi przepełnia.

Wtem wezwanie do modlitwy. Zrywamy się i otaczając dogasające ognisko odmawiamy modlitwę i znów hejnałem wieczornym kończymy jeden dzień życia pełnego pracy, radosnej



dnia: gawęda przy ognisku. Wielki stos chrustu nagromadzony zawczasu na polanie, pali się żywo i jasno, siedzimy wieńcem dookoła, zapatrzone w ulatujące iskierki, rozmowy cichną, ogarnia nas cudowny nastrój, oczekujemy czegoś niezwykłego... Komendantka, lub któraś z instruktorek zaczyna mówić. Każdy temat dotykający naszej, tak przepięknej ideologji harcerskiej, czy metod pracy w organizacji zagrzewa nas do czynu, budzi myśli podniosłe, jest nam zachętą i podnietą w pełnieniu dobrej służby. Wywiązuje się pogadanka szczera, serdeczna, — my, młodsze spowiadamy się z naszych myśli i poglądów, — druhny instruktorki

pogody, przyjaznego obcowania z towarzyszkami i całem otoczeniem.

Tak mi tu dobrze, Haneczko! Czuję się lepszą, niż dotąd byłam, widzę, ile straciłam na biernem przechodzeniu obok życia, zrozumiałam, ile w niem znaleść mogę treści, ile mogę i muszę zdziałać dla dobra własnego i dla innych.

Nie poznasz mnie, gdy powrócimy w mury naszej szkoły. A że postanowienia moje w czyn wprowadzę, na to daję sama sobie harcerskie słowo!

Za dwa tygodnie będziemy znów razem. Czuwaj!

Marysia

* * *

ZE ŚWIATA.

Sytuacja w Kraju. Sytuacja w Kraju jest bardzo ciężka; złoty spada wciąż, min ster skarbu p. Zdziechowski w swem przemówieniu wykazał, że tego roku będziemy mieli deficytu 300 milionów; pożyczki zagranicznej nie możemy otrzymać, trzeba szukać ratunku, ale gdzie? Minister chce obciąć płace urzędników, inni znowu proponują by podnieść podatki, podwyższyć taryfy kolejowe, uzgodnić jednak swych zapatrywań i dojść do konkretnych rezultatów, kompetentne czynniki jakoś nie mogą. Stronnictwa kłócą się ze sobą, nikt nikomu nie chce ustąpić i interesa partyjne przekłada się nad dobro ogółu. Wciąż mnożą się zaburzenia bezrobotnych. W Stryju, tłum wtargnął do starostwa demolując urządzenia, rozbijając szafy, lustra; komuniści gorliwie pracowali, jątrząc sfery robotnicze, policja w obronie własnej dała salwę, ranionych zostało 30 osób. W Lublinie przyszło również do demostracji, tłum chciał wtargnąć do magistratu, ale policja przeszkodziła. W rolnictwie jak donoszą, 10.000 pozostaje bez pracy, ale co jest nad wyraz bolesne, to coraz bardziej zanikający zmysł uczciwości, wciąż nadużycia w Bankach, w urzędach, nawet w tych, którym kontrola powierzona, jak n. p. w Izbie kontroli Państwa w Krakowie, której prezes skazany został na sześć miesięcy więzienia. W wojsku dopuszczono do rozpolitykowania, powagę generałów narażono na szwank, wskutek czego generał Szeptycki podał się do dymisji, czy zostanie ona przyjęta niewiadomo, byłaby to wielka szkoda dla naszej armji, pozbawiać ją najdoświadczeńszych generałów. Sytuacja więc ciężka, ale nie beznadziejna. Dźwigniemy się materjalnie i moralnie, gdy zdobędziemy się na zwalczenie lenistwa, na pracowitość, każdy w swym zawodzie na zgodę i miłość i ofiarność, poczucie obowiązku. A więc pracować, oszczędzać i wyrabiać we wszystkich sferach zmysł uczciwości.

Zamach na Mussoliniego. W dniu 7 kwietnia dokonano zamachu na życie Mussoliniego. W chwili gdy Mussolini wyszedł ze sali obrad międzynarodowego kongresu medycznego, zbliżyła się do niego jakaś starsza kobieta i oddała strzał z rewolweru, Mussolini został raniony w kość nosową, zachował jednak spokój i zimną krew i wydał zarządzenie celem utrzymania porządku, sprawczynię zamachu zaaresztowano i odprowadzono do więzienia.

Odezwa księcia de Guise. Orleanowie nie chcą się wyrzec nadziei korony królewskiej Książe de Guise po śmierci Filipa Orleańskiego uważa się za prawowitego króla francuskiego i wydał proklamację, w której zawiadamia o śmierci księcia Orleańskiego i przejściu na niego tytułu zwierzchnika panującego domu francuskiego, proklamacja kończy się wezwaniem do wierności i posłuszeństwa, podpisana jest Jan III.

Zjazd Związku Katol. Stowarzyszeń Młodzieży żeńskiej Archidjecezji krakowskiej. Dnia 7 kwietnia odbył się w Krakowie w sali kongreg. Pań Dzieci Marji, plac Jabłonowskich 3, zjazd delegatek, dyrektorek Stowarzyszeń Młodzieży żeńskiej. Zagaiła zjazd ks. Teresa Sapieżyna, prezesowa Związku.

Obecnie w djecezji krakowskiej istnieje 78 stowarzyszeń, a członkiń dochodzi do 4 tysięcy. W toku sprawozdania ks. sekretarza Zdebskiego o działalności stowarzyszeniowej wszedł na salę Ks. Metropolita Sapieha, przywitany oklaskami, wypowiedział on podniosłe silne przemówienie o konieczności organizacji dla młodzieży żeńskiej, o ważności tej pracy, którą buduje od fundamentów, tej pracy cichej, a tak owocnej w każdej parafji, w każdym środowisku i zwrócił uwagę na ścisły kontakt tejże pracy z Kościołem.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Ks. Biskup Bougaud: „Życie chrześcijańskie“. (Wydanie drugie. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Str. VIII + 322.)

Francja w 19-ym wieku miała znakomitych obrońców Wiary. O. Gratry, o. Lacordaire, o. Monsabré, biskup Dupanloup, o. Didon, L. Veuillet należą do tych, którzy głęboki wpływ wywarli na umysły współczesnych katolików. Byli to ogniści mówcy i świetni pisarze. Mieli dar wstrząsania umysłów zobojętniałych dla sprawy religijnej. Sami niezmiernie inteligentni pociągali wielkie masy inteligencji do stóp Chrystusa.

Poczesne miejsce wśród pisarzy-obrońców Wiary zajmuje ks. Biskup Bougaud z Lavalu. Jego działalność przypada na czasy Napoleona III-go i 3-ciej rzeczypospolitej. Jego utwory mimo upływu przeszło półwiecza dochowały wiele świeżości i mocy w dowodzeniu. Pomnikowem dziełem biskupa z Lavalu jest pięcioksiąg pod nazwą: **„Chrystjanizm a czasy obecne“**. Autor zwracał się w nim do inteligiencji pogłębiając jej wiadomości o religji i pociągając uprzedzonych lub ciemnych. „Wiara i niewiara“, „Jezus Chrystus“, „Credo“, „Kościół“, „Zycie chrześcijańskie“ — oto części, z których się składa wielkie dzieło biskupa Bougaud.

Wziętość ich i wpływ we Francji nie przeszły bez uwagi u nas. Całość w przekładzie wydana przed wojną, wyczerpała się dawno, ale znaczne koszty nakładu opóźniły ponowne jej wydanie. Podjęła się tego trudu Księgarnia św. Wojciecha, wydając najpierw część piątą p. t. „Życie chrześcijańskie“.

W dziele biskupa Bougaud, uderza nas żywe odczucie prawd wieczystych. To nie chłodny filozof, przemawia do wybitnego rozumu, przygniatając go swą wiedzą i ogromem dowodzeń, to zacny przyjaciel dusz, posiłkujący się argumentami rozumowanemi jak i uczuciowemi. A nigdy nie gwałtowny, nie goniący za efektami. Pisze tak żywo, barwnie, ujmująco. Rzecz jego możemy czytać kolejnemi rozdziałami jak i wybierając te, które zaciekawiają dręczącemi umysł zagadnieniami. Zwłaszcza końcowe rozdziały o niebie, czyśccu i piekle o wielkiej

i małej liczbie wybranych stać się mogą doskonałą zachętą wiary dla tych dusz, które zwątpiły o zbawieniu własnem i stoją na uboczu życia w Kościele.

Artur Śliwiński: „Stefan Batory“. (Warszawa 1922). Znakomita monografja A. Śliwińskiego rzuca jasne światło na ostatnie dziesiątki XVI. wieku i na wspaniałą postać jednego z największych królów wśród władców Polski i Europy.

Gdy wolna elekcja otworzyła wrota zabiegom obcych mocarstw, gdy przebiegła dynastja Habsburgów z jednej strony, a zaborczość moskiewska z drugiej, zagrażały samoistności państwa polskiego, gdy siła moralna, upojonej złotą wolnością szlachty, rozkładać się poczynała i „ściany Rzeczypospolitej zadrżały“, wówczas na widowni dziejów naszych ukazała się postać wielkiego monarchy: króla-bohatera, który w wse mocne ręce ujął ster rządów, podtrzymał gmach potężnej jeszcze Rzeczypospolitej, mężne stawił czoło wrogom zewnętrznym, zwalczał nierząd wewnętrzny, krótkowidztwo szlachty, butę magnatów; co więcej — potrafił dla swych wielkich zamiarów zjednać cały naród i bodaj na chwilę rozpłomienić go wielką ideą, której był chorążym.

A ideą Batorego było wypowiedzieć śmiertelną walkę wrogowi kultury i chrystjanizmu, światu muzułmańskiemu, który w owym czasie był potęgą, zagrażającą zarówno Węgrom, jak i Polsce.

Złamanie potęgi caratu — w wielkich zamiarach Batorego — było jednym z środków zmiażdżenia Turcji; przez Nowogród i Moskwę torował sobie drogę do Konstantynopola.

Wielkie zamiary niepospolitego monarchy natrafiły na liczne przeszkody i trudy, lecz zwalczał je król-wojownik..., a cięższe do pokonania zło wewnętrzne i krzywdy osobiste znosił król-bohater... i czekał i był cierpliwy. — Opanował wreszcie tłum szlachecki i wykrzesał zeń iskrę zapału do wielkich poczynań i szlachetnych przeznaczeń.

Stolica święta w osobie Sykstusa V. wsparła również wielkie zamiary monarchy polskiego; niestety zabrała go śmierć przedwczesna, lecz idea jego nie zginęła; jej blaski opromieniły pola Cecory i Chocimu i wiodły do boju zastępy bohaterów, walczących o wolność, wiarę i ojczyznę.

Żółkiewski, Zamoyski, Chodkiewicz, Czarniecki, spadkobiercy wielkiej idei Batorego, kroczyli śladem, wytyczonym przez wielkiego monarchę, przez wodza genjalnego, bohatera czynu, jednego z tych, którzy nową otwierają epokę i wielki program działania pozostawiają Narodowi w spuściźnie.

Książka Śliwińskiego budzi żywe zainteresowanie, podaje wierne charakterystyki wielkiego króla i powiernika jego i przyjaciela J. Zamoyskiego, braci Zborowskich i rzeszy szlacheckiej, odsłania światła i cienie epoki, w której tkwiło wiele pierwiastków wielkości i bohaterstwa, ale ujawniały się już rozkładowe czynniki w łonie państwa i społeczeństwa.

Wielkie przykłady, górne poczynania, lecz i błędy narodu, wołają do nas z tej książki, iż: „Historja jest, i winna być zawsze, Mistrzynią życia“.

M. El.

Jan Sztaudynger: „Dom mój“. (Poznań 1926. Księgarnia św. Wojciecha). Twórczość J. Sztaudyngera jest niezwykłem zjawiskiem wśród poezji dnia dzisiejszego. Niema w niej turkotu maszyn, ani wrzasku jazz-bandów; niema spaczonych „moderne“ poglądów, ani chorobliwej wyobraźni, lubującej się w brudnych i cynicznych opisach. Niema tego w jego wierszach, bo i w duszy poety tego niema. Cechą wybitną poezji młodego autora jest wielka prostota, brak wszelkiej pozy, niezmierna „uczciwość“ artystyczna. W głębokiej wierze autora we wszystko cokolwiek pisze, tkwi tajemnica bezpośredniości jego poezji. Z młodzieńczą śmiałością, nie oglądając się na innych, nie dbając o modę, rozsnuwa poeta jasną przędzę swej, nawskróś romantycznej, przesubtelnionej duszy. Wie o tem, że jest młody i, wbrew utartym tradycjom, ma odwagę, przyznać się do swej młodości, chełpi się nią i cieszy, bo z niej czerpie swoje siły. Kryształowo czyste, świetlane i mocodajne, skłonne do cichej melancholji, lecz nigdy do pesymizmu są te jego szczere liryki. Jako skończone, prześliczne całości przedstawiają się dwie ballady **„O Panu Jezusie frasobliwym“** à la Zegadłowicz; przesmutną, tępą melancholją urzeka cicha boleść, która „stoi zmarzniętą taflą“ w duszy artysty, z wiersza **„Sam“**. W zachwycenie wprawia miłość poety, który „ukochał ponad czar poranka“ i „słów nie może znaleść dość skrzydlatych, aby pod stopy rzucić jej, jak kwiaty“... i prosi Najwyższego, by nie strącił z wyżyn jego wiośnianej dzieweczki, aby iść mogła po ziemi — nieidąca, beztroska i „tęcza rozśpiewana“. Niezmierną bezpośredniością, wynikłą z obcowania, zlania się wprost z naturą, nacechowany jest wiersz **„O miedzę z polem“**; wreszcie pierwszy ze zbiorku, p. t. **„Trzeba, ażeby dusza“**..., z jakąś apostolską, powagą i wiarą dodaje sił do wytrwania i napawa ufnością w sprawiedliwość losu; to krzyk życia, krzyk młodości ufnej zawsze i przeciw wszystkiemu w przeznaczone szczęście! Poezje J. Sztaudyngera poruszają najczulsze struny duszy, budząc słodką radość samą świadomością, iż są w naszej zmaterjalizowanej epoce talenty tak pełne ideału.

Niejednemu ta jasna książeczka zrobi dobrze — Czytajmy ją!

J. N.

OD REDAKCJI.

„Małej Urszulance“ za wzory robót dziękuję. Ładne pomysły i dużo starania, ale może potrafisz jeszcze równiej deseń wyrysować? To może lepiej z drukiem poczekać na te nowe, które obiecujesz. Narysuj je tuszem czarnym.

Szarotko, przed wydrukowaniem twej pracy chciałabym z Tobą na ten temat porozmawiać. Może w obszerniejszym liście zechcesz rozwinąć Twe myśli, bym lepiej zrozumieć mogła Twoje zapatrywania.

Iwonko cieszę się, że Ci się „Dziś i Jutro“ tak

podoba. Czytaj-że je uważnie i nie przysyłaj razem na jednym arkusiku listu do **redakcji**, do **gawęd**, i **nawet łamigłówki**, bo w takim razie nic do druku dać nie mogę. Pisuj jednak swobodnie i do redakcji i do Gawędziarek.

Tosiu — Twa „Śnieżyczka“ ładniutka, ale musi ustąpić miejsca w pisemku dawniej czekającym.

Malwie za list i wierszyk, **Romie** za wierszyk dziękuję. Myśli ładne, ale forma jeszcze słaba. — Piszcie częściej to się wprawicie.

Jadziu K. To wcale nie śmieszne, że „Dziś i Jutro“ bardzo, bardzo kochasz, skoro uznajesz, iż ono przynosi Ci wiele chwil jasnych i szczęśliwych. Nie dziwię się, że nie wszystkie artykuły podobają ci się. To zależy od upodobania. „Jedna chwila“ to podobno ze zdarzenia prawdziwego.

Jagódko — Pisuj ile chcesz, zawsze chętnie czytam Wasze listy.

M. P. w Poznaniu. O wzory na roboty kościelne, zwłaszcza na palki bardzo prosimy.

Fiołku miło mi cię poznać, pisuj częściej, „Maryjka“ ma podobno dużo jeszcze przejść w życiu, ale cieszmy się nadzieją, że to szczęśliwie się skończy.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum S. S. Urszulanek w Stanisławowie.

ZA MORZE!

Zima stara
Co niemiara
Opowieści umie;
Gdzieś tam sobie u komina,
Dawne dzieje przypomina —
I baje w zadumie...
Cicho gwarzy,
Ot, jak starzy,
Ale nie od wczora!
I nie widzi, że ta Hoża,
Powróciła już z za morza,
Że odchodzić pora!

. . . .

„Hej, Starucho!
Już nie głucho
Na tym Bożym świecie.
Powracają — patrz — ptaszęta,
Zwabiła je Wiosna święta,
Co rozsiewa kwiecie..
Idź więc sobie,
W rannej dobie,
Hen, gdzieś w świat daleki
Zdejmij z ziemi mgieł opony,
Coś wieszała na wsze strony,
Nad pola — nad rzeki. —
Lodu sople,
Deszczu krople,
Śniegu białe płaty,
I puszysty szron ten siwy,
Co otulał lasy, niwy,
I wieśniacze chaty —
Zabierz z sobą hen, za morze,
A na drogę — szczęść ci Boże!

A. B.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli czytelniczek. Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać).

47. Odważna do Błędnego Ognika 33. Napisz dokładniej czego się boisz? t. j. czy „boba“, czy kominiarza, czy profesora, czy jeszcze kogo lub czego? Dam ci skuteczne lekarstwo, lecz muszę poznać dokładnie chorobę.

48. Polny Kwiatek do Błędnego Ognika 33. „Nie odrazu Kraków zbudowany“ i nie prędko można poprawić się z tchórzostwa. I ja byłam tchórzem, bałam się strachów, ciemności. Wyleczyłam się myślą, że strachów niema. Gdy znalazłam się sama w ciemnym pokoju, lub, co gorsze, gdy wracałam wieczorem przez ciemne ulice, kierowałam myśl do ubiegłych wypadków, myślałam o czem była mowa na lekcji, lub na zebraniu sodalicyjnem i bojaźń uchodziła precz.

49. Wiosna do Tarnowianki 29. Staję w obronie marzycielstwa. Przecież to rzecz cudna, to wzniesienie się w świat ideałów, oderwanie myśli od szarej rzeczywistości życiowej. Marzenia nasze, to nasz świat własny, nasza szczęśliwość. Uniesienie się na skrzydłach sokolich w krainy wyższe, jest godnym zazdrości stanem.

Szczęśliwy, kto przyszłość wyidealizuje w marzeniach, a potem marzenia te zdoła zrealizować. Marzenie cudne tchnie w nas niebiańskim entuzjazmem, zapala górną szlachetnością i puszcza w obłoki błogiej nadziei. Przecież i wieszcz nasz woła: „Młodości podaj mi skrzydła, niech nad martwym wzlecę światem w rajską krainę ułudy, kędy zapał tworzy cudy i obleka nadzieję w złote malowidła“.

50. Uparciuch do Tarnowianki 29. Zdaje mi się, że w każdym człowieku tkwi żyłka marzycielstwa, każdy ma jakieś pragnienia, nad któremi się zastanawia, by móc je przekuć w piękną formę czynu. Takie marzenie nie jest niebezpieczne, ale może być szkodliwe, gdy stanie się nałogiem, gdy żyje się tylko w sferze nierealnej, bo z tego wynika wiele rozgoryczeń i zawodów. Dlatego należy nie ograniczać się tylko do formy nieproduktywnej myśli, lecz zmieniać ją w formę słowa lub czynu.

51. Uparciuch do Czytelniczek. Proszę o rady na wyzbycie się uporu.

52. A. B. do Czytelniczek. Prawda, że każda z Was ma jakieś hasło, którem kieruje się w życiu. Jakie hasło obrałyście i dlaczego?

53. Norma do Niny. Kwitnie u was praca społeczna. Poradź mi w jaki sposób pomnożyć fundusz „Kółka Miłosierdzia"? Dużo u nas dobrych chęci, ale chroniczny brak środków paraliżuje kroki.

54. Szarotka do Tarnowianki 29. Marzycielstwa nie uważam za wadę, gdyż myślę, że przez nie rozwija się w ludziach bujna fantazja. Po części wszyscy poeci byli marzycielami. Ono to przenosi umysł nasz w wyższe sfery idealniejsze i odrywa nas od życia realnego. Są jednak jednostki, u których marzycielstwo potęguje się do tego stopnia, że przeszkadza im w spełnianiu obowiązków. Wtedy to staje się wadą. Sama lubię marzyć i jest mi z tem dobrze, ale nie zauważyłam, aby mi to szkodziło w nauce, która przecież jest moim największym obowiązkiem.

55. Szarotka do Czytelniczek. Cieszę się bardzo z „Gawęd przyjacielskich". Jest to miła rozrywka, przynosząca każdej z nas korzyści, dlatego chętnie zabieram w nich głos i myślę, że w krótkim czasie zaprzyjaźnię się z wami, choć tak na niewidzianego.

56. „Czarowniczek" do wszystkich Czytelniczek! — „Czarowniczek" ma wielkie zmartwienie, lubi bardzo sporty, a przedewszystkiem łyżwiarstwo i kolarstwo, ale nie może się im należycie „poświęcić", bo mu na drodze stają rozmaite przeszkody w postaci słów: „przeziębisz się", „przemęczysz się" i t. d... A to wszystko dlatego, że uprawia je z życiem, czyli jak to niektórzy nazywają z „pasją". A więc poradźcie „Czarowniczkowi" jak ma postępować, ażeby się pozbył tej brzydkiej „pasji" i równocześnie powiedzcie co myślicie o sporcie i czy go tak bardzo kochacie jak „Czarowniczek"?

57. „Czarowniczek" do Lucynki 41.
Moja Lucynko! Prosiłaś Ty nas
O nazwę w „Gawędach" kochanych,
Więc mówię, że „Kózka" dla Ciebie w sam raz,
Lecz „Kózka" z Twych słów drukowanych.
To znaczy, że miła Ty jesteś ogromnie
I nawet za „Kozę" uśmiechniesz się do mnie.
O mała „Kózko" ma,
„Czarowniczek" Tobie posyła „pa".

58. A. B. do Wykrzyknika. Bez kwestji, że do jednego celu można dążyć różnemi drogami, byleby one były dobre; cel bowiem nie uświęca środków. Ale są cele, do których prowadzi tylko jedna droga.

Np. chcąc przyczynić się do ogólnego dobra Ojczyzny, należy, według mnie — spełniać sumiennie swoje obowiązki. Naturalnie, że będą one inaczej wyglądały u uczennicy, inaczej u jakiegoś działacza społecznego i t. d.

Lecz droga jest jedna — tylko inne widzimy formy.

A pewnie, że zapatrywania mogą, a raczej są najczęściej różne, sprzeczne. Lecz, czy wtedy jest prawdziwa przyjaźń — tego nie wiem. Jak np. utrzymałyby się różne zgromadzenia, gdyby nie było jakiegoś łącznika między członkami, jakiegoś celu wspólnego i gdyby każdy miał inne zapatrywania i inaczej postępował?

Ale właściwie o jednakowe zapatrywania bardzo trudno, a to wynika z różnicy charakterów, usposobienia, lecz, ażeby mogła istnieć przyjaźń, muszą one przynajmniej dopełniać się wzajemnie.

59. Błyskawica do Azy 35. Tak się cieszę, że znalazłam nareszcie choć jedną optymistkę, jestem też nią i myślę, że takie zapatrywania nie są wcale złe, bo choć nas może będzie czekało rozczarowanie, to i cóż — wszędzie spojrzymy przez różowe okulary — i znów będzie dobrze — prawda?

60. Szarotka do Azy 37. W Twój „bezwzględ-

ROBOTY RĘCZNE.



Wzór do haftu płaskiego.

ny“ optymizm nie chce mi się wierzyć, bo byłby tylko uzasadniony, gdyby życie już tu na ziemi było niebem. Może użyłaś za silnego wyrażenia, gdyby jednak był takim, szkodliwym nie jest. Prawdziwy optymizm nawet złe na dobre tłumaczy. Rozczarowanie nie jest wtedy klęską, któraby mogła zachować dotychczasowe, różowe usposobienie, lub nawet obalić je...

61. Szarotka do Błędnego Ognika 33. „Tchórzostwo“ może być wrodzone lub nabyte. W pierwszym wypadku zwalczyć je byłoby trudno, w drugim jest to możliwe, zwłaszcza gdy się tego usilnie pragnie. Obawa zawsze pogarsza sytuację, przeciągając niejako to, co uważamy za niekorzystne, a co jest zwykle tylko wymysłem naszej fantazji.

Najlepszem lekarstwem byłaby wola i sugestja. Wmawiać w siebie, że niema się czego bać, nie myśleć o skutku, lecz raczej o przyczynie, starając się ją usunąć. Wola przedewszystkiem może tu cuda zdziałać, a konsyliarka będzie duchowo pomagała swojej pacjentce, do której do niedawna tchórzostwem była podobna.

ŁAMIGŁÓWKI SZARADY.

KWADRAT MAGICZNY.

(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

1	2	3	4
2			
3			
4			

Cztery wyrazy wpisane w kratki, mają dać poziomo i pionowo ten sam wyraz.

Znaczenie wyrazów:
1. Los. 2. Próbka. 3. Pora roku. 4. Pierwiastek chemiczny wchodzący w skład powietrza.

DEPESZA Z MARSA.

(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

„/ - - i - / i / - u - - o /“ - o / - a - - - o / - a - - u - ą - y /
/ - - u - y - o - - i - /, - - y - a - y / - o / - u / - a / - a - - ie /
/ - / - ie - - ie - / - ai - - e - e - o - a - ie - /, i / - o - ie - a - /
/ - a - - - o / - ię / - a - / - o - o - a - /, - - o - i - y /, - y /
/ - - - y - - o - - i - / - o / - a - / - - ę - - ie - / - /. - /. - o /
/ - y - o - - ia /.

W miejsce kreseczek - wstawić spółgłoski.

OMYŁKI DRUKARSKIE Nr. 7:

Str. 109 podpis pod ryciną, zamiast Vatt Stoff ma być: Van't Hoff
zamiast Ostweld ma być: Ostwald.
Wiersz 23 zamiast jawów ma być: jonów.

TREŚĆ Nr. 8-go.

CENA EGZEMPLARZA 55 groszy.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Kwartalnie 3·— zł, półrocznie 5 zł 50 gr, rocznie 10 zł. — Za przesyłkę egzemplarzy wydanych przed złożeniem opłaty, dolicza się **5 gr** od egzempl. Dla prenumerujących większą ilość egzempl., do każdych 10-iu egzempl. dołącza się 11-ty bezpłatnie. Przedpłatę nadsyłać do Administr. „Dziś i Jutro“, **Kraków, ul. Starowiślna 3.** Konto P.K.O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKOW